



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ŚWIĘTY WOJCIECH.

Arcybiskup Gnieźnieński.

(† 23 kwietnia 997 r.)

Przyjęcie wiary chrześcijańskiej było dla każdego narodu najważniejszą chwilą dziejową. Jak chrzest dla człowieka pojedynczego jest narodzeniem duchowem, wprowadzeniem go do społeczeństwa Kościoła, na łono prawdziwej wiary, podobnie nawrócenie się całego narodu i kraju wprowadzało go do rodziny innych chrześcijańskich narodów i rozpoczynało dla niego nową erę prawdziwej cywilizacji i rozwoju.

To też we wszystkich krajach chwila ta bywa przedmiotem usilnych badań historycznych, a zarazem czczona i wspominana przez wszystkich.

Polska, jak wiemy, przyjęła wiarę katolicką za Miecysław I w 965 r., ale rozpowszechnienie jej w całym kraju, utrwalenie i wypalenie przesądów pogańskich kosztowało wiele czasu, trudu i poświęceń, zwłaszcza ze strony duchowieństwa.

Do takich apostołów należy w pierwszym rzędzie św. Wojciech, arcybiskup gnieźnieński, który blisko tysiąc lat temu zginął śmiercią męczeńską. Aczkolwiek pochodził on z czeskiej rodziny, tak ściśle zjednoczony jest z nami zasługami, który dla kraju naszego położył, że nie wahamy się go umieścić w liczbie świętobliwych jego synów.

Raz, gdy będąc dzieckiem, ciężko zachorował i był bliskim śmierci, rodzice postanowili poświęcić go Bogu, jeśli wyzdrowieje; skoro więc wyszedł z dzieciństwa, oddali go do arcybiskupa magdeburskiego Alberta, aby się tam później ćwiczył w naukach duchownych. Arcybiskup tak polubił pilnego i roztropnego młodzieniaszka, że mu dał swe imię na bierzmowaniu, i ztąd poszło, iż później jedni go zwali Adalbertem, a drudzy Wojciechem, lubo oba te imiona jedno mają znaczenie. Ucząc się przez lat dziewięć pilnie i bez przerwy, mało miał równych sobie co do rozlicznych wiadomości; mimo to zdarzyło się, że, powróciwszy do rodzicielskiego domu przyglądał dziwnie do próżności świata. Wszystek czas swój poświęcił zabawom i biesiadom, nie pomnąc na stan, do któ-



Św. Wojciech przybył do Frus, płynąc Wisły korytem.. (str. 130).

rego był przeznaczony. Boleli nad tem pobożni rodzice i modlili się o powrót syna na obraną przez nich drogę. Prośby ich niezadługo wysłuchane zostały; Wojciech odmienił obyczaje. Gdy zaś później coraz więcej nabywał doskonałości, zwrócił na siebie uwagę całego duchowieństwa.

Pragska stolica osierocona była wtedy po śmierci biskupa Dytmara i gdy przystąpiono do nowego wyboru, ten jednomyślnie padł na Wojciecha. Najpierwszą jego czynnością po tem wyniesieniu był podział dochodów biskupstwa na cztery części, których jedną przeznaczył na ubogich,

drugą na opuszczone kościoły, trzecią na wykupienie niewolników, a czwartą dopiero sobie zatrzymał.

Wiek, w którym żył święty Wojciech, odznaczały się niesłychaną dzikością obyczajów, ogłada późniejszych czasów była zaledwie w kolebce, a wiara Chrystusa za słabo jeszcze wrosła w dusze, aby panować mogła nad grubą powłoką zmysłów.

Działo się tedy w Pradze i całych Czechach wiele złego, na poskromienie którego nie skutkowały upomnienia biskupa. Zniechęcony pracą na niewdzięcznej roli, Wojciech powziął myśl odprawienia pielgrzymki do grobu Chrystusa w nadziei, że może przez ten czas promień łaski oświeci zbłąkanych.

Rozdawszy hojną jałmużnę ubogim z ofiar, które mu uczyniono na drogę, puścił się najpierw do Rzymu, chcąc zwiedzić nieznaną sobie jeszcze stolicę chrześcijaństwa. Po drodze zatrzymał się w sławnym klasztorze św. Benedykta w Monte Cassino. Uczni tameczni ojcowie, którym opowiedział, dlaczego, porzuciwszy biskupstwo, udaje się w daleką drogę, odradzali mu ją mówiąc: „Staraj się zbierać owoce pracy twej w miejscu, w którym cię Pan postawił; nie w Jerozalemie żyć, ale gdziekolwiek dobrym być, chwalebnie i zbawienne jest”.

Zastanawiając się pilnie nad temi słowy, biskup jął zarazem przyglądać się zbliżonej zakonnej regule Benedyktynów i rozniłował się w niej bardzo. Prosił tamecznego opata aby go zaraz przyjął w liczbę swych zakonników, ale on nie chciał tego uczynić, żądając, aby wprawdzie jeszcze udał się do Rzymu i tam lepiej rzecz tę rozważył. W Rzymie też dopiero zamienił szaty biskupie na prostą zakonną suknię. Pięć lat przebył następnie w klasztorze, słysząc bogobojnością. Czechy jeli wtedy ślać gońców do papieża z obietnicami pomocy i prośbą, aby im powrócił biskupa. Posłuszny woli Ojca świętego, udał się Wojciech do Pragi; zastawszy tam jednak też same obyczaje, co pierwej, nie tracąc próżno czasu, puścił się do Węgier, gdzie go wzywał król tameczny Gejza.

Przybywszy do Budy, sam nauczył wiary świętej Gejzę wraz z jego małżonką i ochrzcił syna ich Stefana, zaliczonego później w poczet świętych; szerzył też dokoła poznanie prawdziwego Boga.

Gdy w kilka lat potem powrócił do Rzymu i znów osiadł w klasztorze Benedyktynów, udający się do niego chorzy za jego modlitwą bywali cudownie uleczeni, i wszyscy tameczni mieszkańcy pragnęli, aby na zawsze wśród nich pozostał. Ale Wojciech chciał raz jeszcze próbować, azali nie uda mu się nawrócić zbłąkanych Czechów, i po jakimś czasie wybrał się znowu do Pragi. Zatrzymawszy się w Polsce, wysłał z zapytaniem do ziomków, czy żądają jego przybycia? Oni wszakże, obawiając się surowości biskupa z powodu, iż niedawno zamordowali czterech jego braci, odpowiedzieli, że nie pragną, aby do nich powracał. Bolesław Chrobry, panujący wówczas w Polsce, znając dawniej św. Wojciecha, podjął go z wielką czcią i radością, i rad był odpowiedzi Czechów; prosił więc papieża, aby byłego biskupa Pragi przeniósł na arcybiskupstwo gnieźnieńskie.

Skoro się stało zadość temu żądaniu, Wojciech święty został prawdziwym ojcem narodu, umacniając go w niedawno przyjętej wierze. Ułożył dla króla pieśń Boga-rodzica, śpiewaną przez wojsko przed rozpoczęciem boju. Dbały o dobro nowej swej trzody, biskup trapił się wszakże najazdami po-

gan pruskich. Umyślił więc udać się pomiędzy nich i nawracając, powiększał ilość wyznawców prawdziwej wiary. Prosił więc króla, aby go do Prus wyprawił z kilku kapłanami. Bolesław, który czcił i kochał bardzo św. biskupa długo wzbraiał się uczynić zadość jego żądaniu, ale uleść musiał wkońcu jego niczem nie zachwianej gorliwości apostolskiej. Niezadługo więc potem św. Wojciech z towarzyszem swym pobożnym Gaudencyuszem przybył do Prus płynąc Wisłą korytem.

Skoro stanęli na lądzie, ukłękli, wznosząc serca do nieba, a potem puścili się nieznaną ścieżką. Długo szli, nie napotykając nikogo, aż wreszcie obskoczeni zostali przez pasterzy, pasących bydło.

— Kim jesteście i czego żądacie?—wołali dziko, wstrząsając drewniane maczugi, a św. Wojciech odpowiedział im na to:

— Idziemy z Polski, słudzy jesteśmy Boga żywego, który stworzył niebo i ziemię i wszystko co na niej jest, uznajcie Go, a będziecie zbawieni.

Zaśmieli się poganie na te słowa, których nie rozumieli, i jeden z nich uderzył biskupa tak silnie, że go przyprawił o omdlenie.

Przyszedłszy do siebie, Wojciech dziękował Bogu za zesłane cierpienie i uprosił barbarzyńców, aby mu pozwolili iść dalej. Długo bardzo słudzy Pańscy chodzili po niewiernym kraju, opowiadając ewangelią ślepym, dla których jeszcze nie nadszedł czas łaski, aż wreszcie Wojciech, strudzony daremną pracą, umyślił udać się na Litwę i tam próbować szczęścia.

Gdy już przyciągnął do granicy pruskiej ziemi, zapragnął odprawić jeszcze na niej jedną mszę za zaślepionych mieszkańców. Wybrał ku temu piękny, cienisty gaj drzew zielonych.

Już na ołtarzu, ułożonym z polnych kamieni, pobożny pasterz ukończył świętą ofiarę, już wznosił ręce, aby pobłogosławić towarzyszy, przybyłych później, aby podzielić jego apostolskie trudy, gdy nagle rozległ się okrzyk dziki, i siedm włoścni utonęło w jego piersiach.

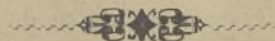
Padł, skrapiając krwią męczeńską ołtarz ofiarny, a poganie wołali:

— Jak śmieliście znieważać waszemi obrzędy gaj święty bogów naszych? Było to bowiem zacisze poświęcone bożyszczom, którego wnętrza nikt nie mógł przekroczyć.

Strapił się ciężko król Bolesław, gdy kapłani, którzy zdołali ująć zemsty niewiernych, opowiedzieli mu śmierć męczeńską świętego przyjaciela. Wykupił niebawem jego zwłoki i zbudował na pomieszczenie ich wspaniały kościół w Gnieźnie. W kilka lat potem Gaudencyusz, jeden z towarzyszy zamordowanego biskupa, który objął po nim gnieźnieńską stolicę, w tejże samej świątyni wieńczył skronie Bolesława daną mu przez cesarza Ottona koroną.

Gaudencyusz cnotliwym żywotem zjednał sobie później miejsce pomiędzy błogosławionymi ziomkami naszymi.

A. B.



ŻYCIE W OCEANIE.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dokończenie).

Wspaniała gra barw pochodzi stąd, że w skórze ośmiornicy znajduje się mnóstwo małych woreczków, zawierających płyny różnobarwne. Te woreczki, pod wpływem nerwów i mięśni, mogą przybierać kształt gwiazdek, przyczem zawarty w nich barwnik rozlewa się na szerszej przestrzeni, a wtedy skóra ośmiornoga przybiera silniejszą barwę. Gdy woreczki wracają do kulistego kształtu, to barwnik skupia się na małej przestrzeni i skóra blednie. Następujący przykład lepiej to jeszcze wyjaśni. Wyobraźmy sobie arkusz białego papieru, na którym umieścimy kropelkę atramentu, wielkości łebka szpilki. Umieścimy ten arkusz papieru na odległości 20 albo 25 łokci, a nie dostrzeżemy tej czarnej kropelki. Ale jeżeli kropelkę rozmażemy po papierze, to doskonale dojrzymy czarną plamkę, chociaż ilość atramentu pozostała taż sama.

Zazwyczaj leżą ponad sobą i obok siebie woreczki dwójakiego zabarwienia, a będąc zależnymi od nerwów i woli zwierzęcia, powodują szybką zmianę barw niebieskich, czerwonych, żółtych i ciemnych. Pod temi wreszcie woreczkami leży warstwa cienkich blaszek, od których skóra, srebrzy się jak u ryb, i mieni się tęczowymi blaskami. Wszystko to jednak widać tylko na żywym zwierzęciu.

Ośmiornica jest zwierzęciem niezmiernie przebiegłym; nie tylko zmienia barwę, ale umie jeszcze mącić wodę w chwili, gdy jest napadniętą. Posiada ona wewnątrz ciała *worek atramentowy*, napełniony czarną cieczą. Gdy zwierzę jakie chce pojmać ośmiornicę, wtedy wyrzuca ona z siebie strumień czarnej cieczy, która mąci dokoła niej wodę; tym sposobem powstaje jakby chmura osłaniająca ośmiornicę, a ona sama tymczasem przybrała również ciemną barwę, tak, iż trudno powiedzieć gdzie się znajduje. Napastnik staje osłupiały tą zmianą, a ośmiornica korzysta z tej chwili i zagrzebuje się w piasek, przybrawszy jego barwę, albo też chyłkiem pomyka wstecz, jak wszystkie głowonogi, gdy szybko pływają.

Opisaliśmy obszernie ośmiornicę dlatego, że to, cośmy o niej powiedzieli, odnosi się w zupełności i do innych głowonogów. Posiadają one wszystkie własność zmieniania barwy, oraz wypuszczania cieczy atramentowej. Mają zawsze na głowie ramiona, obsadzone licznymi bańkami; u niektórych gatunków zamiast baniek na ramionach znajdują się haczykowate pazury. Ramiona służą do pływania, pełzania, oraz do chwytania i przytrzymywania zdobyczy. Kadłub ich okryty jest *plaszczem* (fałda skóry) jak u innych mięczaków, a poły płaszczu mogą na brzuchu rozwierać się i zamykać. Z otworu płaszczu wystaje *lejek*, to jest rurka, która, kurcząc się mocno wyrzuca wodę z pod płaszczu, a za każdym wypchnięciem wody, zwierzę nagle wstecz odskakuje i tym sposobem pływa w podskokach. Lejka nie widzimy na rycinie przedstawiającej ośmiornicę, gdyż narysowaną jest od strony pleców; natomiast widać doskonale lejek na rycinie fig. 21 u *matewki Rondeleta* (*Sepiola R.*), ponieważ odwrócona jest do nas brzusznią stroną; owo zwierzę różni się od ośmiornicy tem, że zamiast ośmiu ramion, ma ich dziesięć; dwa ramiona są długie i odmienne od reszty ramion, przy pływaniu zastępują one wiosła. Prócz tego *matewka* po bokach ma dwie pletwy chrząstkowate, pomagają one także przy pływaniu. Śliczny ten głowonóg jest drobnych rozmiarów, gdyż ma zaledwie 5 do 6 centymetrów długości.

Podobną do *matewki*, lecz większych rozmiarów jest *matwa* (*Sepia*), równie pospolita jak ośmiornica. *Matwa* ma także dziesięć ramion, a pod skórą na grzbiecie znajduje się ukryta skorupa wapienna, (fig. 22); morze często takie skorupy na brzeg wyrzuca. Z atramentowego płynu tego zwierzęcia wyrabiano dawniej farbę, zwaną *sepią*. J. J. SWE

staci gronek zawiesza mątwa na roślinach wodnych, jak to widzimy na ryc. 23.

Opisane przez nas głowonogi są niewielkich rozmiarów, kadłub ich najwyżej dosięga półtorej stopy długości, nie licząc w to długości ramion. Ale w głębinach morskich żyją prawdopodobnie straszne potwory, należące do tejże gromady, jak o tem sądzić możemy z kawałków, które morze czasami wyrzuca, tak np. w londyńskim muzeum przechowuje się ramie głowonoga, mające 30 stóp długości; znajdowano także ich gardła wielkości głowy dziecka, a bańki tak duże jak wielka dziesiątka miedziana. Cóż to za straszne potwory być muszą z takimi potężnymi ramionami! Na szczęście nie wypływają one na powierzchnię wody.

W starożytnych czasach morza zawierały daleko więcej niż obecnie rozmaitych gatunków głowonogów, a niektóre z nich miały piękne skorupy wapienne, u teraźniejszych zaś gatunków skorupa jest rzadkością. Te dawne skorupy znajdują geologowie w wielkiej ilości w pokładach ziemi, co dowodzi, że tu, gdzie jest obecnie ląd, niegdyś było morze. Nawet i w naszym kraju znajdują często takie skamieniałe skorupy wyginionych głowonogów, mające kształt wydłużony; lud nasz nazywa te skamieniałości *strzałami piorunowemi* i wierzy, że to istotnie piorun cisnął je w ziemię. Są to skorupy zaginionych głowonogów, zwanych *Belemnitami*.

Skończyliśmy opis mięczaków. Na pochwałę ich dodać możemy, że ze wszystkich zwierząt są one najwięcej niezależne: z wyjątkiem dwóch gatunków, niema między nimi pasożytów. Chociaż większość mięczaków ma ruchy powolne, żyją one jednak własnym przemysłem i zadawalniają się najczęściej ubogiem pożywieniem. Rzadko nawet proszą o pomoc swych sąsiadów i rzadko zawierają z nimi spółkę. Jednakże niektóre gatunki mięczaków żyją wśród kolonii polipów koralowych; a ponieważ krzak polipów rośnie szybciej od mięczaka, więc, aby nie umrzeć z głodu w tym żyjącym murze, mięczak robi sobie wapienną rurkę, przez nią otrzymuje wodę, powietrze oraz pożywienie. Atoli omulki, żyjące w wodach słodkich (*Unio*, *Anodonta*) są czasowo pasożytami; w młodości wieku, gdy opuszczają matkę, to przyczepiają się haczykami do skóry jakiej ryby. W skutek tego podrażnienia na skórze ryby powstają drobne guzki, w których młode mięczaki nikną zupełnie, i tak pozostają ukryte przez kilka miesięcy, przechodzą przez rozmaite przeobrażenia i żywią się sokami ryby. Gdy rozwój ich jest skończony, wówczas mięczaki opuszczają rybę i swobodnie pełzają po dnie rzeki.

Mięczaki odgrywają niezmiernie ważne znaczenie w historii naszej ziemi. Wiemy już, że żyją one tłumnie w morzu, a skorupy ich, gromadząc się wciąż bądź w całości bądź starte na miazgi proszek, podnoszą stopniowo dno morza i układają warstwy dla nowych lądów. Kiedy w przyszłości niektóre z dzisiejszych mórz znikną, dno morskie ukaże się na powierzchni, a ludzie być może, stawiać będą domy lub zasiewać zboże na glebie, która powstała przeważnie ze skorup mięczaków.

Wspomnienia z pierwszych lat moich

przez

Sewerynę Duchinińską.

Smo... dziecinne lata. Skończyłam zaledwie rok... ojciec. Dotknięty nieuleczalną chorobą... wianiu zale... doko... nu

jakoby *sen złoty, sen na kwiatach*, według wyrażenia ulubionego poety Bohdana Zaleskiego.

Matka moja, niepokieszona po ciężkiej stracie, ale głęboko pobożna, całą siłą woli krzepiła się w duchu, aby odpowieść godnie ciężącemu na niej obowiązkom. Tem trudniejsze było zadanie, że ojciec mój, czując się zdrow jeszcze, nabył obszerną majątność pod Kutnem. Pozostał na niej dług, łatwy do spłacenia w pomyślnym stanie rzeczy. Wkrótce przyszła choroba: ojciec pracować nie mógł, jak dawniej, gospodarstwo też upadało. Gdy umarł, biedna matka moja podjęła na barki niemały ciężar, zamknęła się w domu i zabrała do pracy z godną podziwu wytrwałością.

Bóg miłosierny nie opuszcza sierot. Oprócz najlepszej matki dał mi nieporównanego opiekuna. Był nim brat ojca mego, Feliks Żochowski. Mimo, że mieszkał dosyć daleko od nas pod Sochaczewem, odwiedzał raz po raz matkę moją do

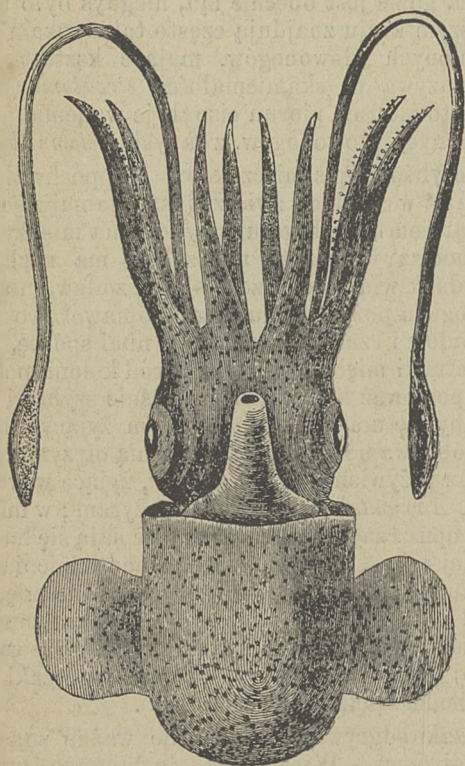


Fig. 21. Matówka rondeleta (*Sepiola Rondelletti*). Widać na niej 8 ramion krótszych a 2 dłużych, po bokach głowy oczy, u dołu płaszcz o 2 bocznych pletwach i lejek wystający otworem płaszczowym.

pomagał jej w zabiegach gospodarskich. Czuwał zarówno nad nią brat jej, Franciszek Trzcński, osiadły bliżej nas z rodziną w okolicach Łęczycy.

Jeszcze za życia ojca, kiedy skończyłam rok szósty, rodzice sprowadzili dla mnie nauczycielkę, pannę Rapacką. Pamiętam niesłychany mój przestach, kiedy na kilka dni przed jej przyjazdem pocziwa *pannusia*, Konstancja Łubińska, która wyniańczyła mnie od dziecka, nierada, że ktoś inny zastępuje jej miejsce, ciągle mi powtarzała, że różgi, przygotowane na mnie, mokną w wodzie od tygodnia pod strychem, na żądanie tej guwernantki. Niezupełnie dowierzałam temu, jednak mnie te słowa trochę niepokoiły.

— Pokaż mi te różgi, pannusi!

Zaprowadziła mnie na

wych gałązek
śmiałam

teustannie.

brzo-

To rzekłszy, wyjęła z wody jedną różgę i świsnęła nią w powietrzu. Dreszcz mnie na wskroś przeniknął. Dostałam kiedyś różgę od mamy za upór wiedziałam, że to boli, ale tamta różeczka była mała i sucha, ta wielka i wymoczona w wodzie. Nie mogłam się utulić. Mama, widząc mnie zapłakaną spytała co mi jest? Wydała się rzecz cała. Pannusia dostała naganę. Napróżno mama zaręczała mi, że panna Rapacka bardzo dobra, że karać mnie nie będzie bez przyczyny; wrazenie jednak pozostało.

Przyjechała na koniec, zasadziła mnie do książki, w oka mgnieniu nauczyłam się składać litery i kreślić kreski na papierze. Różga okazała się niepotrzebną. Nauczycielka moja nie była tak straszną, jak mi zapowiedziano. Obok wielu zalet miała jednak wadę, powszechną w tamtych czasach: przesadną, powierzchowną czułość. Doświadczyłam tego w bardzo dotkliwy sposób.

W parę tygodni po śmierci ojca wujostwo Franciszkowie zabrali nas do Orszewic w Łęczyckiem, aby mama ochłonięła cokolwiek z żalu w pośród serc życzliwych, nim do pustego wróci domu. Ciotki moje zamieszkałe w sąsiedztwie, przyjeżdżały tam często z dziećmi. Po raz pierwszy spotkałam się tam z niesprawiedliwym sądem ludzkim i głęboko odczułam obrazę. Śmiało powiedzieć mogę, że wpłynęło to na mój charakter i odbić się miało w przyszłości.

Moje siostrzyczki cioteczne, młodsze odemnie dziewczątka, bawiły się i śmiały wesoło. I ja też rozśmiałam się z niemi; spostrzegła to nauczycielka i rzekła półgłosem do ciotki mojej:

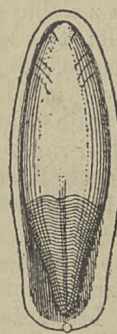


Fig. 22. Skorupa matwy.



Fig. 23. Jajka matwy zawieszone na roślinie.

— To dziewczyna bez serca; tylko co ojciec umarł, a śmieje się, jakby nie była sierotą.

Posłyszałam te słowa, nigdy ich w życiu nie zapomnę! Pociemniało mi w oczach. Nie dając nic poznać po sobie, z wesołą na pozór twarzą uciekłam do pustego pokoju; tu dopiero wybuchnęłam płaczem.

— Drogi ojczulku — pomyślałam — tyś tam u Boga w niebie, ty najlepiej wiesz, czy ja cię zapominałam. Skoro powiadają, że nie mam serca, nie zobaczę nigdy łez moich!

I nikt ich nie zobaczył. Udawałam zupełnie obojętną, ale jak mnie wieczorem położono do łóżeczka, oblewałam poduszkę łzami. Zatykałam usta chusteczką, aby nikt nie posłyszał mego łkania. Nie uszło to jednak przed uchem dobrej matki. Nie byłabym ukrywała się przed nią, ale w tym samym pokoju sypiała nauczycielka moja. Gdy nieraz mama pytała, co mi jest, udawałam sen twardy.

— Niech pani się nie trwoży — mówiła panna Rapacka — co jej się zapewne przyśniło.

— Ależ płacze, słyszę wyraźnie.

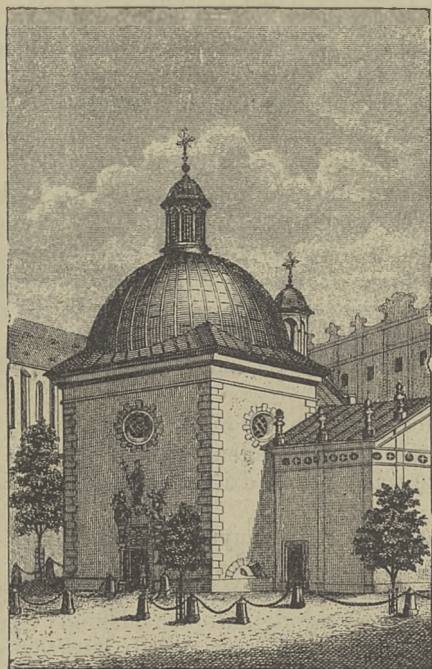
— Bynajmniej, ona nieskora do łez. Szczęśliwe dziecko jej z tem będzie na świecie.

Zacinałam się coraz więcej. W charakterze moim wyrabiał się jakiś głuchy, milczący opór. W fizycznych nawet cierpieniach nie skarżyłam się nigdy; im bardziej mi coś dolegało, tem bardziej udawałam wesołą.

Z pomiędzy krewnych odwiedzała nas najczęściej babulka, poważna żupnikowa Trzeńska. Była to druga żona dziadka mego, a więc macocha mamy, ale pobożna, pełna serca, kochała ją po macierzyńsku, zarówno z dziesięciorgiem własnych dzieci.

W dwunastym roku życia mama dowiedziała się przez służkę, że jest jej pasierbicą, a nie rodzoną córką. Co niedziela po nabożeństwie w Kutnie przyjeżdżała do nas ta kochana babulka. Cóż to była za radość, jakie prośby wieczorem aby zanocowała u nas; tak też bywało najczęściej. Lubiła bardzo grać w loteryjkę; przypominam sobie, jak siedząc koło niej przy stoliku, spozierałam na rękach jej ogorzałych białe plamy, pokryte delikatną skórą.

— Co to jest, babulku? — zapytałam.



Kościół św. Wojciecha w Krakowie.

Jednostajne życie nasze ożywiały stosunki z ludem wiejskim. Dopóki niskie nasze drewniane dworki nie przeistoczyły się w murowane wille i pałace, przystęp do nich łatwiejszy był dla kmieci. Codzień wieczorem, po pracy w polu albo w ogrodzie, najemny lud garnał się do dworu po kwitki, które co sobota wypłacano. Po zżęciu każdego rodzaju zboża gromada przychodziła z wieńcem, przyspiewując wesoło. Przędownica składała mi w ręce koronę z kłosów, przetykaną kwiatami, poczem lud odchodził ucztostowany, a wieńiec zawieszano w sieni na kołku. A cóż to było dopiero, kiedy ostatni kłos padł pod sierpem, a stodoły i brogi napełniły się snopami. Matka moja, lubo smutna, chętnem okiem patrzyła na radujących się wieśniaków, po żniwach sute wyprawiała im



Katedra w Gnieźnie.

— To nie, moja dziewczeczko — odrzekła słodko — sparzyłam się kiedyś, i taki ślad pozostał.

— A to czem?

— Już sama nie pamiętam.

— Ale ja pamiętam dobrze tę straszną noc — zawołała matka moja — spaliśmy wszyscy, aż tu rozległ się przeraźliwy krzyk: „gore”! W oka mgnieniu zrywamy się z łóżek... płomień bucha... skry się z trzaskiem. Dom drewniany, posyty słomą... ratunek nie pomoże! Zgiełk, zamęt, wrzawa, pożar szerzy się gwałtownie; widzę to jeszcze, jakby to było wczoraj. Jejmość biega po izbach, zgarnia spłoszoną działwę... jednego brak tylko, maleńkiego Adasia, śpi w przyłęgłym alkierzu. Płomienie ogarniają dom od tej strony, przystęp do alkierza zawalony krokwiemi. Nie zważa na to jejmość, rzuca się w ogień, porywa kołyskę dzieciątka. Plamy na ręku, to znaki zgorzelizny.

To rzekłszy, mama ucałowała ze czcią tę zabliźnioną rękę.

— Po co to przypominać takie stare dzieje — rzekła babka niby zadąsana — każda inna na mojem miejscu uczyniłaby to samo.

okreżne. Odbywało się to na obszernym dziedzińcu przed dworem. Skrzypki cięły od ucha, przygrywały im basy. Od wieczora do świtu młodzi i starzy, podżyłe kumoszki i dziewczęta, wszystko to płaśało na zabój, pokrzykując „dana, oj dana”!

Jesienią kobiety miedliły len w podwórzu, w długie wieczory prądkie schodziły się do pokoju pannusi, zasiadały wkoło komina, warczały kołowrotki do taktu z wesołą to rzewną piosenką.

W zapusty znów następowały wesela. O zmierzchu we czwartek drużby i swaty przychodzili ze zwykłą oracyą godową: zapraszali „na te gołębie, co siedzą na dębie, i na ćwierć wołu, co wart pańskiego stołu, na tego barana, co z niego pieczeń i suknaną, na czarke wódki, co rozprasza smutki; na dzbanek piwa, co się głowa od niego kiwa”, i na mnóstwo innych przysmaków. W niedzielę z rana przyprowadzano do dworu pannę młodą; ja sama trefiłam jej włosy, upinałam w nie pęki wstążek i gałązki rozmarynu; powyżej czoła przytwierdziłam koronę, którą mama wyhaftowała srebrnymi blaszkami na atłasie i chowała u siebie dopóki służyć mogła. Nazajutrz po ślubie, drużyna weselna przychodziła ze skrzypkami do dworu na oczepiny. Panna młoda otrzymywała z rąk

matki mojej suty czepiec z błogosławieństwem, poczem płasano w podwórzu po śniegu, albo w sali na wypadek zamieci.

Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli młodzież obiegała wieś z gwiazdką, śpiewając pieśni kolendowe, a zaczynała zawsze od dworu. Po Wielkiej Nocy przychodziła znów po dyngusie, następnie z kurkiem i odpowiednią zawsze pieśnią. Wszystko to głęboko utwiło mi w pamięci. Tej styczności z ludem wiejskim zawdzięczam tę serdeczną miłość dla włościan naszych, jaka mnie dotychczas ożywia.

Droga matka moja kochała szczerze ten lud i pozyskiwała jego ufność. Kobiety przychodziły raz po raz po lekarstwa lub radę. Pamiętam w pokoju pannusi wielką szafę czarną, podzieloną wewnątrz na półki i szuflady. Była to apteczka domowa. Na półkach stały butle, flaszki, słoiki różnych rozmiarów, opatrzone właściwym napisem, w słojach łój kozłowy i powidła z bżowych jagód od kaszlu, psie sadło, doświadczony środek na suchoty, skrom zajęczy, gojący wszelką ranę; w butlach mokły w spirytusie mrówki, wyborne lekarstwo na reumatyzm, tutki piołunu i tysiącznika na febrę, ziarnka jałowcu od puchliny. Ze szczególnem zajęciem patrzyłam na dwie wielkie butle; w jednej zalane były oliwą wielkie czarne owady, zwane maiki, broniące od wścieklizny w razie ukąszenia; w drugiej namoczoną była mysz w wodzie; kieliszek jej podany tajemnie, miał leczyć od nałogu pijaństwa. W szufladach pełno było ziół wszelkiego rodzaju: śláz, kluczyki, melisa, szaflwia, rumianek, mięta i macierzanka. Znałam je wszystkie, bo sama w wiosenne poranki, zbierałam je w polu z pannusią.

Mama z upodobaniem przyrządzała te leki i wskazywała jak ich używać. Skutek ich bywał jak najlepszy, świadczyła o tem wdzięczność poczciwych wieśniaczek i zupełne ich zaufanie.

Wszystko to żywo mnie zajmowało, ale młoda nauczycielka moja pragnęła czegoś więcej; utyskiwała, że dom nasz klasznięty, jak klasztor, że się w nim wesoło nie bawia, jak w innych sąsiedzkich domach, korciło ją i to, że nasza stara karetka, która służyła od lat przeszło dwudziestu, zaprzężona w czwórkę roboczych koni, niepocześnie wyglądała obok pięknych ekwipaży przed kościołem kutnowskim co niedziela i święto. Skargi te, rozpościerane przed obcymi, odbiły się nieraz o ucho moje i zły posiew rzuciły w myśl niewinną. I mnie też wstyd było owej żółtej karety, wybitej słowiałyńm safianem, i brudnych kasztanków w zielonych chomontach i stangreta Antoniego w szarym płaszczu bez błyszczących galonów.

— Wartoby, moja pani bratowo — rzekł dnia jednego stryj — pożegnać się już z tą arką Noego, co ludzi kole w oczy. Wkrótce będę w Warszawie, sprowadzę ci nowy powóz.

— Niech cię Bóg broni, panie Feliksie — zawołała mama ze zgrozą, jak wypłacę długi co do grosza, wolno mi będzie paradować. Nim to nastąpi, choćbyś mi kupił nowy powóz, odeszł ci go bez namysłu.

I wytrwała przy swoim droga matka. Pracą i oszczędnością tyle dokonała, że w lat kilka potem nie było grosza długu na hipotecz.

Mama, okryta żałobą, zapracowana w gospodarstwie, nie opuszczała prawie domu. Czasami tylko na usilne żądanie stryja jeżdżyłyśmy do Wrzelów, gdzie mieszkali, w bliskości Sochaczewa. Wielka była radość moja ilekroć to nastąpiło, bo serdecznie kochałam stryjaską. Szczególny to był człowiek, takich już dzisiaj niema. Znał wszystkich, pamiętał każdego, kogo raz w życiu widział, a poznał mnóstwo ludzi, to w Karlsbadzie, dokąd jeździł z chorym przyjacielem, to w podróżach do Gdańska, dokąd Wisłą co rok spławiał pszenicę.

Lubo zamożny, wcale się nie ożenił i nigdy nawet nie starał się o rękę żadnej panny. Powodem do tego było zapewne przedwczesna siwizna, włosy bowiem pobieleły mu w dwudziestym czwartym roku życia. Wcześniej też nazwano go starym kawalerem, i on sam wierzył w tę starość. Wybudował sobie maleńki dworek z gankiem, tak mały, że brakło w nim miejsca na żonę.

Ileż to gości przesunęło się przez ten dworek! Środkiem wsi szedł gościniec od Wisły do Sochaczewa. Stryj mój chętnie przesiadywał na ganku, nikt przejeżdżający nie ukrył się przed jego okiem, każdy też rad wstępował w gościnne progi. Zjeżdżali tu kwestarze zakonni, pewni, że otrzymają datek. Zjeżdżała hurmem uboga szlachta ze wsi Zochowa, leżącej w Pułtuskim za Wisłą, zostawiała synów pod opieką zamożnego krewniaka. Zdolniejszych oddawał stryj do szkoły, innych brał do pomocy w gospodarstwie. Pełno też tu było Zochowskich, każdy otrzymywał właściwy przydomek: *Szlachcic kulawy* był ekonomem, *Młody szlachcic* pisarzem پروwentowym i t. p.

(d. c. n.)

Nad wodami Bałtyku.

(Dalszy ciąg).

Rabuś na imię Zygfryda odsunął się, mruczając coś niewyraźnie, i wyszedł z izby.

— Mam dla was komnatkę, o której mówiłem — rzekł wtedy Morun, pójdziemy tam zaraz, jak się tylko posilicie — i nalawszy kubek miodu, podał go niewieście.

Ta ledwo w nim usta umoczyła, lecz dała kilka kropel dziecięciu drżącemu od zimna, równie jak trochę przyniesionej strawy, której sama zaledwie skosztowała.

— Nie mogę wam dać nic lepszego — wtrącił Morun — bo ludzie tutejsi, nawykli do prostej strawy, nie znają zamorskich specyałów, do jakich pewno nawykliście.

— A ty, młodzieńcze, zkąd wiesz, że tak jest — ozwała się młoda kobieta.

— Wnoszę to po ubiorze waszym, po tym łańcuchu złotym, po który sięgnął jeden z rabusiów... ale dość tej rozmowy, muszę was zaprowadzić do waszego więzienia, idźcie za mną.

Idąc najpierwej ciemnym korytarzem po również ciemnych, krętych schodach, z kagankiem w rękę wspinał się do góry Morun, a za nim szła młoda niewiasta z dziecięciem na rękę. Wreszcie młody chłopiec odsunął ciężkie wrzecie dźw i drzwi otworzył. Weszli wtedy wszyscy do komnaty, przeznaczonej na więzienie dla tych, po których spodziewano się okupu, a o którą Morun prosił dla młodej pani i jej syna.

Była ona dość obszerna i widna, bo zajmowała całą szerokość wieży, a widok na morze, spokojne teraz i jakby uśmiechnięte w słońca promieniach, nadawał jej pozór wesoły. Ściany nagie były wybielone, a ceglana podłoga czysto wymyta. Obszerne łóża zaścielały niedźwiedzie skóry, na których można było spocząć.

— Tu przynajmniej — rzekł Morun — niczyje ucho nie posłyszysz tego, co mówić będziemy.

— Skoro tak jest — rzekła młoda kobieta — to powtórzcie mi to, co szepnęliście dla uspokojenia mnie; jesteście chrześcijaninem?

— Tak jest — odparł Morun — bratem waszym w Chrystusie, a zatem gotów jestem dopomagać wam, o ile to będzie w mojej mocy.

— A więc jakżeście się dostali do tej jaskini zbójców? bo odgadłam już, że jestem w zamku jednego z Ganipotów, tych królików morza, którzy dokoła sięją śmierć i zniszczenie.

— Nie mylicie się w tem, ale nie pytajcie mnie o więcej, bo odpowiadać wam nie mogę. I tak nikt tu nie wie, że wyznaję wiarę Chrystusową, a jeżeli wam o tem napomknąłem to jedynie, aby was uspokoić i natchnąć zaufaniem w chwili największego przerażenia.

— Dzięki ci za to, nie pytam o więcej — odparła niewiasta — bo cóż to za otucha dla mnie, że wśród dzikich roz-

bójników znalazłam przyjazną duszę współwyznawcy Chrystusa.

— A teraz spocznijcie i myślcie, że Bóg wszędzie czuwa nad nami. Przyjdę znów przynieść wam pożywienie. Macie tu część odzieży waszej i dziecka; wyprosiłem ją dla was, mówiąc, że branka, za którą ma się żądać okupu, winna mieć lepsze obejście, zresztą i wy i dziecko nie możecie zostać zgiebnięci w tych przemoczonych szatach, bo w takim razie okup mógłby przepaść...

— Niech wam Bóg policzy wszystko dobre, co mi czynicie — rzekła rozrzuwiona młoda kobieta.

Morun zbliżył się już do drzwi, ale zawrócił się jeszcze.

— Powiedzcie mi imię i nazwisko wasze — dodał.

— Na imię mi Berta — odparła branka, a mąż mój Wilhelm pochodzi z możnego Faltynów rodu. Okręt, który złupiono, jego był własnością, a mnie wiozł z Brem, od rodziców. Wilhelm nierad był odjazdowi memu i dziecięciu, bo sam nie mógł mi towarzyszyć, mając tu rozległe zajęcia handlowe. Podróż moja przeszła szczęśliwie, i tu dopiero u bram prawie Gdańska spotkała mnie tak straszna przygoda. O, pewną jestem, że Wilhelm, dowiedziawszy się o rozbiciu okrętu od tych, którzy się wyratować zdołali, pośpieszy szukać nas na wybrzeżu, gdzie okręt może nie zatonał jeszcze. Gdybym mogła pozostać w swej kajucie, ocaliłby mnie niewątpliwie...

— To było niepodobieństwem, bo nawet szczątki statku zmiotła srożąca się do rana burza. Mąż nie znalazłby was, i wszelkie poszukiwania jego byłyby daremne.

— Ach! jakże on zrozpaczony być musi — rzekła, łamiąc ręce, Berta — gdyby go uwiadomili można...

— Bogu go polećcie, a da mu męstwo do wytrwania aż do chwili, w której połączeni zostaniecie, teraz bywajcie zdrowi, a gdy wyjdę, drzwi zasuńcie na rygiel.

— Powracaj do nas jednak niezadługo, zacny młodzieńcze — rzekła Berta, składając błagalnie dłonie — gdy na ciebie patrzę i głos twój słyszę, w serce moje wstępuje promień nadziei, który gaśnie, gdy pozostaję sama...

Skoro Morun wyszedł, pani Berta pośpieszyła rozpastrzeć pozostawione jej szaty, w których znalazła wszystko, co potrzebnem było dla niej i dla Henryka. Wkrótce dziecię, pozbywszy się przemoczonej odzieży, otulone w miękkie niedźwiedzie futro, rozpostarte na łożu, usnęło spokojnie. Niebawem spoczęła obok niego matka, pokrzepiona nadzieją odzyskania swobody.

A Morun tymczasem stanął przed wodzem, który tylko co ukończył rozdzielać łupy.

— Przywołałem cię — wyrzekł tenże — bo i tobie część łupu się należy.

— Nie zarobiłem na to, bo niewiele pracowałem — odparł, pokrywając z trudnością wstręt, jaki mu sprawiał sam widok zdobyczy.

— No, nie dopomagałeś im, bo nie było tego potrzeba, ale pojmajęś brankę, której okup, wnosząc po bogactwie stroju, jaki taki zysk przyniesie.

— Jest to żona Wilhelma Faltyna, możnego kupca i rajcy Gdańska.

— To źle, to źle bardzo — rzekł Zygfryd, który wszedł właśnie na te słowa. — Faltyn jest człek możny i gdy się dowie, że to my złupiliśmy okręt, odzyskawszy żonę, będzie strat swoich poszukiwał, a ma po temu sposoby, bo pomimo strat poniesionych, znajdzie jeszcze niemało złota w swych skrzyniach.

— A więc — ozwał się wódz porywczo — lepiej było zepchnąć w morze tę kobietę jak ją sprowadzać tutaj.

— I teraz jeszcze czas po temu — rzekł znów Zygfryd — wyprawić ją na pełne morze z którym z naszych, a ten powróci sam do brzegu. A zresztą i tutaj można się jej pozbyć — dodał, potrząsając krótkim mieczem, jaki miał przy boku.

Morun nie okazał swego przerażenia na te słowa, tylko z pozorną obojętnością wyrzekł:

— Niewiasta ma przy sobie synaczkę, za którego ojciec oddałby wszystkie skarby, jakie posiada; sama mi to mówiła,

można więc zawrzeć umowę, w której Faltyn, oprócz okupu, rzeknie się poszukiwania krzywdy, gdyby ją nawet odgadł, bo morze okręt pochłonięło, wszystko zatem, co zawierał, mogło pójść na dno. Rozbitki ocaleni na łodziach opuścili go przed samym przybyciem, a pani sama zbyt była przerażoną, aby zwracać uwagę na to coście zabrali, a co mogło jeszcze pozostać.

— Chłopiec ten ma rozum starego — rzekł, uderzając go po ramieniu Zygfryd — prawdę mówi, przybyliśmy tam, aby ratować rozbitków, zastaliśmy już tylko kobietę i dziecię, i okręt pograżył się w fale, skoro ich przewieźliśmy do łodzi.

Wódz chciwy na okup, który miał pozyskać, z łatwością, myśl tę pochwylił i życie młodej kobiety ocalone zostało w tej chwili przynajmniej, bo jeszcze nie uradzono w jaki sposób otrzymać żądany okup.

— To sęk nielada — mówił Zygfryd — jak tu dostać się do Gdańska, aby zanieść nowinę, że ta bogata mieszczańska znajduje się w naszym ręku wraz ze swem pacholęciem; żaden z naszych ludzi nie podejmie się tego, bo kaźden pewien jest, żeby gardło dać musiał, gdyby się tylko dostał poza mury grodu i za żadną nagrodę tam iść nie zechce a jeżeli do tego uniknie do którego z naszych sąsiadów, królików morza, osiedlonych w ościennych zamkach nadbrzeżnych i wyspiewa mu wszystko co widział i słyszał, w końcu jeszcze naprowadzi napaść na nas... A wszyscy oni chciwi na łupy, bo nie często zdarza im się po temu gratka...

— A gdybyście mnie wysłali? — rzekł Morun — niczyjego zabójstwa winien nie jestem, nie brałem też dotąd udziału w waszych napadach, więc nie mam się czego lękać...

— Oho — zawołał wódz — czego ci się zachciewał a któż nam zaręczy, że nie powrócisz do nas z zastępem zbrojnych mieszczan, którzy zechcą odbić więźniów, zamiast złożyć za nie okup?

— Życie dziecięcia i niewiasty będą zakładnikami w waszym ręku, Gdańszczanie zatem nie dopuszczają się zdrady i oddadzą wiernie to, do czego się zobowiąza. Co do mnie, skoro dobrowolnie do was przystałem, czemużbym miał uciekać? Pomyślcie tylko nad tem, a przyznacie, że mówię prawdę.

Zygfryd, który bezwiednie polubił młodego chłopca, czuł, że można mu zaufać, ale nie wydawał się z tem, wódz zaś ozwał się znowu:

Gdyby nawet tak było, to musimy cię jeszcze wypróbować, aby się przekonać, czy radzić sobie potrafisz w nielatywnej potrzebie. Niewiasta i syn Faltyna mogą tymczasem pobyć u nas bezpiecznie tem więcej, że nie dzieje im się żadna krzywda, skoro nie siedzą w lochu, ale tylko w komnacie, którą rodzic mój zwał królewską, bo ma białe ściany i podłogę nielada, a widok z niej też rozkoszny na morze. Ta mieszczańska siedzi tu sobie, jak królowa, i pewno rada takiej wspaniałości!

— Bywałem ja w Gdańsku, gdy jeszcze z ojcem chadzał ryby sprzedawać — rzekł Morun — i nosiłem je nieraz do mieszczańskich domów. Od złota kapie tam wszystko i młoda pani w komnacie waszej niema ani trochę tej wygody, do jakiej nawykła; ale o wygody mniejsza, długa wszakże tęsknica może ją o chorobę, a nawet o śmierć przyprowadzić.

— No to staraj się ją rozweselić nadzieją uwolnienia, powiedz jej tylko, że nielawta to sprawa dostać się do Gdańska i porozumieć z jej mężem, więc czekać musi. A tymczasem weź dla niej coś z naszych łupów, musi tam być przecie niejedno czego by pragnąć mogła, bo radbym aby była zdrową i żywą. Nie wiem jeszcze, jak wydobędę za nią okup ale mieć go muszę — dodał zapalając się — muszę, bo namnożyło się dokoła sąsiadów Ganipotów, więc rzadko kiedy łup znaczny wpadnie w ręce, a nielada fortunę wywalczył sobie muszę.

Wymawiając te słowa, rabuś wyprostował się dumnie i roziskrzonym wzrokiem powiódł dokoła. Był on młodym jeszcze, bo niedawno po ojcu, który zginął na morskiej potyczce, odziedziczył zamek wraz ze zbójcką załogą i przemysłował nad tem, jak powiększyć swe dostatki, aby módz dostać za żonę piękną Hegildę, córkę zamieszkałego wraz z nią na przykładu Heli zbójckiego wodza, który już nie puszczał się na

morskie wyprawy, zebrawszy z łupieztwa wielkie, jak mówiono, skarby, a zarzekł się, że przyjmie za zięcia jedynie najwaleczniejszego i najmożniejszego z Ganipotów.

Morun nie odzywał się więcej rad, że zabezpieczywszy życie niewiasty, będzie jej mógł przynieść niejaką osłodę w więzieniu. Zaraz też przeglądając porozbijane skrzynie, wydobył z jednej z nich przybory do złotych haftów, i wnet pani Berta miała czym skraćć długie godziny samotności w więzieniu. Rozpoczęła robotę kościelną, którą postanowiła ofiarować do świątyni Panny Maryi w Gdańsku, jak tylko powróci w domowe progi, czego spodziewała się już pewnie, gdy Morun powtórzył jej rozmowę swą z opryskiem. Pewność ta osładzała jej smutny pobyt w zamku Ganipoty, nie mniej przeto wyglądała z utęsknieniem chwili, w której rozpocząć miano układy o jej wyzwolenie. Wódz wszakże oprysków, jakkolwiek chciwy na okup, zastanawiał się długo nad tem w jaki sposób ma się porozumieć z Faltynem. Wiedział dobrze z opowiadań starych ludzi, że gdańszczanie nie darują swej krzywdy, gdyż znał takich, co pamiętali jeszcze dobrze straszne przygody Duńczyka, Mothona i Szweda, Henryksa, dwóch słynnych rozbójników morskich, którzy w pobliżu przylądka Heli ujęli okręt kupiecki zwany „Gdańszczanin”. Właściciele jego puścili się za nim w poгон, dognali ich w pobliżu wyspy Bornholm, odebrali towary i opanowawszy statek rabusiów, przywiedli go wraz z całą załogą do zatoki Zopotskiej. Obaj dowódcy wzięci do niewoli, pomimo obiecywanych okupów, gardła dali, a głowy ich na postrach okolicznych Ganipotów zatknęto na wysokich tykach nad brzegiem morza. Skandynawscy zresztą żeglarze Otler i Wulfstan, którzy przed tem jeszcze zwiędzali brzegi Bałtyku, w podróży swojej opisywali ciągle zatargi kaszubskiej stolicy z opryskami morskimi, osiadłymi w jej pobliżu, zawsze gdańszczanie dochodzili w nich krwawo swej krzywdy!

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Drogie zwierzęta. — Nansen w Paryżu i w Kopenhadze.

Antwerpia jest miastem, gdzie właściciele wędrownych menażeryi i ogrody zoologiczne, zakupują dzikie zwierzęta. Zwierzęta te są w ogóle bardzo drogie, gdyż przywożenie ich kosztuje wiele trudu, a do tego nie jedne z nich stały się już dziś rzadkością. Żyrafy np. których jest bardzo nie wiele od czasu wojny w Sudanie, tak podróżowały, że płacą za nie po 20,000 fr. i więcej za sztukę. Hipopotamy również zdorożaly; młode sprzedawane są po 6,000 fr. Natomiast słonie spadły bardzo w cenę, z 15,000 fr. na 6,000. Pantera kosztuje dzisiaj 1,500 fr., biały niedźwiedź 5,000 fr., nosorożec 15,000 fr. Cena tygrysa waha się między 2,500 i 5,000 fr. Młode lwy nie są już wcale poszukiwane, duże natomiast, piękne okazy zyskują najwyższe ceny. W ogóle cena lwa waha się między 7,000 a 12,000 fr.

Wspomnieliśmy już o przyjmowaniu uroczystem Nansena w Londynie, następnie równie świetne przyjęcie zgotowano mu w Paryżu. W wielkiej sali pałacu Trocadero, mieszczą-

cej 7000 osób, zebrał się cały uczony literacki i wielki świat Paryża. W loży honorowej zajął miejsce prezydent rzeczywistej, Feliks Faure wraz z panią Nansenową. Gdy Nansen wszedł na estradę, słuchacze wypełniający całą salę, powitali go grzmiotem oklasków; znakomity podróżnik miał na sobie czerwoną wstęgę orderu norweskigo św. Olafa, i oznaki komandorskie legii honorowej, którą za przybyciem do Paryża udekorowany został, podczas przyjęcia u prezydenta.

Po marszu tryumfalnym, odegranym przez muzykę woj-skową, minister oświaty otworzył posiedzenie, witając w imieniu rządu francuzkiego Nansena, który następnie opowiedział szczegóły swej podróży i wyłożył naukowe jej wyniki jako to: odkryciu wielu wysp i zyskanie pewności stałego gruntu do-koła bieguna.

Po ukończeniu tej mowy zagrano hymn norweskigo, na odgłos którego wszyscy powstali i księżę Roland Bonaparte zwracając się do Nansena, oddał mu wielki złoty medal od Towarzystwa Geograficznego, mówiąc: że Towarzystwo chce w ten sposób uczcić w nim uczonego i bohatera.

Po tej uroczystości rada miejska przyjęła Nansena w ratuszu. Prezes wręczył mu złoty medal, na cześć jego wybyty. Prefekt Sekwany, w mowie swojej przytoczył ustępy z notatek podróżnych, w których pomiędzy innemi Nansen znajdując się pod biegunem, wspomina swą małą córeczkę. „Liwia kończy rok; pisze w dniu jej urodzin, święto w domu. Dobrze się zaczął rok 1893, bo mi ją przyniósł, lecz jakże ciężkie było rozstanie! Po roku, pisze znów: Liwia ma dwa lata; może nie poznam jej wcale, gdy wrócę.

A znów po roku: Liwia ma trzy lata; musi być teraz z niej duża dziewczynka. Biedna mała! Twój ojciec nie zapomina o tobie i spodziewa się, że wróci na twe przyszłe urodziny. Jakże się zaprzyjaźniemy! Będę ci opowiadał północne bajki o niedźwiedziach, reniferach i o innych dziwnych istotach ze świata lodów”.

Pewien Anglik, który odwiedził Nansena po jego powrocie z podróży, powiada, że podczas gdy tenże opowiadał mu szczegóły swej wycieczki, zsunęły się na ziemię cenne mapy, sporządzone na Framie. Mała Liwia weszła wtedy niepostrzeżenie do pokoju i siadłszy na dywanie słuchała z zaciękaniem ojca, gdy zaś Nansen dostrzegł ją, schyliwszy się po mapy, pochwycił uradowany na ręce i zaczął z nią tańczyć po pokoju, zapomniawszy o dalszym ciągu opowiadania i o obecnym gościu. Liwia miała pięć miesięcy w czasie wyjazdu ojca, obecnie zaś pięć lat skończyła.

Powróciwszy z Francyi, Nansen udał się do Danii, gdzie przyjmowano go z równym zapałem. W Kopenhadze, królewskie Towarzystwo Geograficzne, wydało na cześć jego świetny wieczór, na którym następca tronu, Fryderyk, prezes honorowy towarzystwa, najpierw zabrał głos i uczcił w przemowie swej Nansena i jego towarzyszy, oraz Norwegię, jako matkę takich synów. Wykładu Nansena słuchała rodzina królewska, ministrowie oraz cały uczony świat Kopenhagi. Po ukończeniu wykładu odbyła się składkowa kolacja w sali, udekorowanej barwami norweskimi. Rektor uniwersytetu wznosił toast na cześć Nansena, a po skończonej biesiadzie przeciągnął przed gmachem korowód z pochodniami, złożony z 800 studentów uniwersytetu. Następnego dnia, król wręczył głośnemu podróżnikowi wielki medal złoty.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Święty Wojciech, arcybiskup Gnieźnieński przez A. B. (z ryc.) — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.). — Wspomnienia z pierwszych lat moich, przez Sewerynę Duchinińską. — Nad wodami Bałtyku p. A. B. — Z dalekiego świata. — Dodatek: Rozmowa z mamą przez A. R. (z ryc.) — Do dzieci, wiersz przez J. D. — Bez domu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE



ROZMOWA Z MAMĄ.

— Mamusiu — wołał Staś, wbiegając do pokoju mamy, która siedziała na krześle i przeglądała bieliznę dziecienną—wie mamusia, gdzie byłem—i, nie czekając na odpowiedź, usadowił się u nóg matki na małym stołeczku, uchwycił dłoń jej w swe małe rączki i okrywał pocałunkami, a mateczka, widząc jedynaka swego tak ożywionym, odłożyła robotę. Z miłością i uśmiechem patrzyła w jego rozjaśnione oczki, a ręką pieściła miękkie włoski.

— Widzę, mój drogi chłopcze, żeś się bawił wesoło, biegalesz zapewne, mówi mi o tem zarumieniona buzia.

— Oho, mamusiu kochana, wujek zabrał mnie z sobą w pole, daleko, byliśmy aż za lasem. Jak tam ślicznie, łąka już zielona, a dzika grusza cała pokryta kwiatami. Chciałem mamusi przynieść bukiet, ale wujek mówił, że kwiatków tych zrywać nie trzeba, bo z każdego będzie gruszceczka. Pamięta mamusia, tak niedawno chodziliśmy tam wszyscy, ale wtedy nie było jeszcze tak ładnie, na łące śnieg leżał, a drzewa były szare i zupełnie nagie. Dlaczego dziś już tak ciepło i zielono?

— Bo to wiosna, dziecko moje, na wiosnę słońce staje się cieplejsze, więc ziemia prędko pokrywa się zielenością, a drzewa i krzewy liściem i kwiatem.

— A dlaczego, mamusiu, na wiosnę słońce jest cieplejsze?

— Dlatego, mój Stachu, że tam wysoko, w niebie jest Bóg dobry i mądry, który tak ślicznie świat urządził, że z wiosną słońce zaczyna przyświecać dłużej, a przysięgając coraz wyżej wznosi się na niebie i bardziej pionowe przesyła promienie. Ale powiedzże mi, co tam jeszcze widziałeś na polu?

— Widziałem, jak parobcy orali, a niedaleko za każdym pługiem chodziła wrona, czasem pług wyorał dużego białego robaka — ot takiego, jak mój palec, wtedy wrona rzucała się na niego i zjadała, to tak śmiesznie wyglądało, czasami myślałem, że się udławi; wujek nie pozwolił ich straszyć, mówił, że to bardzo pożyteczne ptaki, bo oczyszczają rolę z robaków, i co one przez to robią tak dobrego, chciałem się wujka zapytać, ale odszedł do parobków, a potem zapomniałem.

— Wujek miał słuszość, mówiąc, że wrony są bardzo pożyteczne; robaki owe są to tak zwane pędraki, czyli gąsienice chrabąszcza.

— Czy tego brązowego robaka, mamusiu, co to w lecie lata i siada na drzewach? ale bo te, które wrony zjadały, to wcale niepodobne do tamtych chrabąszczów.

— Przedewszystkiem chrabąszcze nie są robakami, tylko owadami; posłuchaj uważnie, to ci o nich opowiem. Chrabąszcze pojawiają się na wiosnę. Przypominasz sobie, jak wyglądają?

— Ja tylko zdaleka widziałem, bo to wujek mnie straszył, że mi na nosie posadzi, a ja się bałem i przybiegłem z płaczem do mamusi, ale teraz już się nie będę lękał, jak wujek przyniesie jakiego, to nie ucieknę, ale mu się dobrze przyjrę.

— To daleko będzie rozsądniej! Zobaczysz wtedy, że ciało jego składa się z trzech części: z niewielkiej główki, na której znajduje się mały pyszczek, dwa rożki i bardzo ciekawe oczy.

— A co tam w nich takiego ciekawego?

— Oczy tych owadów złożone są z bardzo wielu małych oczek, ale tak drobnych, że ty swoimi oczkami dojrzeć ich nie zdołasz, przekonali się jednak ludzie, że tak jest rzeczywiście, gdy im się przyglądali przez powiększające szkła.

— Wiem, mamusiu, co zrobię. U wujka na biurku jest takie szkło, że jak patrzę przez nie na litery w gazecie, to się wydają tak duże, jak moje abecadło. Poproszę wujka, co mi pozwoli patrzeć na nie przez chrabąszcza.

— Dobrze, obejrzyj sobie chrabąszcza z wujaszkiem, a teraz poznaj się z nim choć trochę z opowiadania. Otóż za głową leży środkowa część ciała, zwana tułowiem, do tej są przytwierdzone trzy pary nóg u spodu, a z wierzchu dwie pary skrzydełek: jedna para wewnętrzna, wygląda jak delikatna błoneczka, bezbarwna i przezroczysta, widać ją tylko, gdy owad lata; druga jest twarda, cie-

mno brązowa, służy do osłony i przykrycia pierwszych skrzydełek, które, gdy chrabąszcz zostaje w spoczynku, zakrywa zupełnie. Owady te pojawiają się u nas w końcu kwietnia lub w maju, są to szkaradne szkodniki, niszczą drzewa, gdyż objadają je z liści. (dok. n.)

A. R.

DO DZIECI.

Spojrzyjcie, spójrzyjcie, chłopczyki, dziewczęta!
Słoneczko zagląda w okienko,
Zielenią się drzewa, śpiewają ptaszęta,
Wiosenka wróciła, wiosenka!

Hej, żwawo do lasu, na pola, na łąki!
Pierwiosnki tam kwitną, sasanki,
Za chwilę fijołków otworzą się pąki,
Jest z czego układać wiązanki!

A kiedy, zmęczone zabawą wesołą,
W spokoju wypocząć zechcecie,
Pomyślcie i bacznie popatrzcie w około,
Czy wszystkim tak dobrze na świecie?...

Czy mało z was każde tych dzieci widziało,
Co mają wychudłe rączęta,
Twarzyczkę pobladłą, mizerną, znędzniałą,
I smutne, zapadłe oczęta?...

Pomyślcie: te dzieci, jak długi rok cały,
Zamknięte w izdebkach swych ciasnych,
Ni łąki, ni lasu nie będą widziały,
Ni słońca promieni tych jasnych!

Lecz jeśli widokiem niedoli wzruszeni,
Szczęśliwi z pomocą pośpieszą,
To może choć garstką słonecznych promieni
Te biedne się dzieci ucieszą.

A wiele nie trzeba: z was każde też przecie,
Kupując zabawki, przysmaki,
Niech wspomni z litością o biednych na świecie,
I dla nich odłoży grosz jaki.

O! stokroć wam jaśniej słoneczko zaświeci
I piękniej się wyda na łące,
Gdy z waszą pomocą i biedne te dzieci
Też ujrzą zieloność i słońce.

J. D.

BEZ DOMU.

(Dalszy ciąg).

— Chcesz mi przyganić, bo nie ty je znalazłeś —
odparła Kazia z wymówką.

— Zkądże je wzięłaś? — badał Franek.
Kazia wskazała miejsce, gdzie było gniazdo.

— Zobaczymy, zaraz to sprawdzę! — rzekł chłopak tak złowrogim głosem, że słowa jego obawę jakąś wzbudziły w serduszkach Kazi. Niedługo czekała na dowody, usprawiedliwiające tę obawę: chłopiec wpadł do izby zaperzony, z roziskrzonym wzrokiem, ze skorupkami potłuczonych jaj w rękę.

— Czy nie mówiłem! — zawołał, wygrażając jej pięścią — cały łąg tegoroczny zmarnowany! Chciałaś się pochwalić przed matką znalezionymi nihi jajami, a podobrałaś je kurom w gniazdach, popłoszyłaś ptaki, potłukłaś jajka, i teraz wszystko przepadło, nie będziemy mieli kurcząt, nie będzie co wynieść na targ do miasta!

— Co ty mówisz! — broniła się przerażona Kazia — ja żadnych jaj nie podbierałam, żadnych kur z gniazd nie spędzałam!

— Jak śmiesz zaprzeczać! — krzyknął chłopiec w największym uniesieniu gniewu — kłamstwo jeszcze do winy dodajesz! ślicznie nam się wywdzięczasz za chleb i schronienie, jakie ci z łaski dajemy.

— Kiedy to nieprawda! nieprawda! — powtarzała z płaczem dziewczynka.

Franek nie umiejąc już nad złością swoją zapanować, w największym uniesieniu przyskoczył do Kazi, szarpnął ją za włosy, a potem uderzył kilkakrotnie tak, że padła na ziemię i o kant szafy zraniła się w głowę. Kazia która jeszcze nigdy karana nie była, bo starczyło jej zwykle jedno słowo łagodnego napomnienia ze strony rodziców, doznawszy tak ciężkiej krzywdy od neliłościwego chłopca, zerwała się bez słowa skargi i żalu, twarzyczką jej tylko pobladła, a krew, sącząca się z rany, zmieszała się z jej łzami, spływającymi po policzkach. Widok ten nie rozbroił okrutnego Franka; pastwiąc się dalej nad nieszczęśliwą ofiarą, zaczął jej wygrażać, wołając:

— Myślisz, że się na tem skończy? Idę po różgi, którymi cię matka oćwiczę za wyrządzoną szkodę. I to rzekłszy, wybiegł z izby.

Biedna dziewczynka stała chwilę odurzona, jakby nie rozumiejąc, co to wszystko ma znaczyć: w uszach jej tylko brzmiała ciągle straszna groźba: „idę po różgi, którymi cię matka oćwiczę”. Nikt dotąd na nią nie podniósł ręki, od nikogo nie usłyszała obelżywego słowa, a teraz bita, skaleczona przez Franka, tak niezasłużoną od stryjenki jeszcze miała ponieść karę! Wymawiając jej chleb, którym ją karmiła, dach, pod którym dali jej schronienie, lepiej uciec od takich srogich krewnych, iść w świat daleko, gdzie oczy poniosą, obcy będą mieli może więcej litości nad nią. I z sercem, przepełnionem żalem, wyszła z domu, w którym grożono jej różgami, a przez łyzy nie widząc nawet w którą stronę idzie, puściła się drogą do lasu.

IX.

Nieszczęśliwa Kazia biegła ciągle spiesźnie przed siebie, nie odpoczywając ani na chwilę; chciała uciec daleko, daleko od okrutnego Franka, który jej tak dokuczał, od surowej stryjenki, którą wyobrażała sobie z różgą w rękę. Drżała jak listek, łkanie wyrывało jej się z piersi, ale mimo to szła spiesźnie, nie zważając, że zeszła z udeptanej ścieżki i że błądziła nieświadomie wśród gę-

stych zarośli, rozrywających jej żalobną sukienkę. W końcu poczuła, że jej nogi mdleją, obejrzała się dokoła, strach ją zaczął ogarniać, była sama jedna w tym ogromnym lesie, nigdzie żywej duszy, nigdzie śladu drogi. Co się z nią, biedną dziewczyną, stać może! gotowi zbójcy ją napasć, lub zgłodniałe wilki pożreć; kto nieszczęśliwą sierotę obroni przed złymi ludźmi i drapieżnymi zwierzętami! serduszko jej coraz mocniej biło; chciała wołać Jasia, sądziła, że tak jak dawniej zjawi się cudownie z pomocą, ale daremnie rozpaczliwym głosem wzywała chłopca, nikt na jej wołanie nie odpowiadał. Wieczór nadchodził, ponury las wydawał się coraz ciemniejszy; błądziła już po nim kilka godzin, i głód dokuczać jej zaczął. Byłaby chętnie wróciła nawet do tego domu, z którego niedawno uciekała spiesźnie, byłaby wołała znosić dokuczanie Franka, łajanie stryjenki, byle znaleźć drogę wyjścia z owego strasznego, samotnego lasu, ale w którąkolwiek zwróciła się stronę, puszcza coraz gęstsza stawać się zdawała. Nagle zaszeleściało coś między krzakami; dziewczynka pewną była, że ujrzy niebawem iskrzące ślepią zażartego wilka, tym razem był to tylko mały zajaczek, który koło nóg jej się przesunął. Biedna Kazia, spłakana, zmordowana, głodna, upadła pod drzewem i, składając ręce, jak do modlitwy, zawołała z głosem łkaniem:

— Mamo, ojczy, którzyście mnie samą pozostawili na ziemi, proście Boga za mną.

Potem, jakby te słowa modlitwy wróciły spokój jej biednemu sercu, oparła głowę o pień drzewa, przymknęła oczy i z głodu i osłabienia zemdlą. Gdy odzyskała przytomność, ujrzała się w czysto zasłanem łóżeczku, a nad nią z wyrazem troskliwego niepokoju stały pochylone pani Korecka i jej siwowłosa matka, którą Kazia widziała w kościele.

— Nie bój się, drogie dziecko — całując ją tklawie, mówiła staruszka — już cię nie puścimy od siebie. Bóg dozwolił mi doczekać tej pociechy, że cię jeszcze do serca mego przycisnąć mogę!

Kazia nie rozumiała znaczenia słów tych i nie mogła domyślić się, jakim sposobem z ciemnego lasu dostała się do tego ładnego, ciepłego pokoju, oświeconego lampą, gdzie dwie takie dobre panie czuwały nad nią, niby anioły, z nieba zesłane. Sądziła, że jej się to wszystko śnić musi i, przymknawszy nanowo powieki, nie śmiała otworzyć oczu z obawy, aby nie zniknęło miłe widzenie. Po chwili jednak poczuła miękką dłoń pani Koreckiej, dotykającą jej czoła i policzków.

— Nie ma gorączki — uspakajała nauczycielka matkę — musiała tylko bardzo się przestraszyć, i to spowodowało jej długie omdlenie. Zostawmy ją dziś w spokoju, jutro wszystko się wyjaśni i, Bóg da, dziewczynkę naszą ujrzymy zdrową zupełnie.

Jakoż nazajutrz rzeczywiście po przebudzeniu Kazia czuła się silną i rzeźką, a pierwszą osobą, którą ujrzała obok łóżka, była owa spotkana niegdyś w lesie stara Małgorzata.

Kobieta, wpatrując się w dziewczynkę, z rozczuleniem odezwała się słodkim głosem:

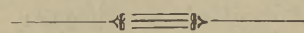
— Mój ty gołąbku, moja ślicznotko, coby się stało było z tobą wczoraj, gdyby Pan Jezus nie poprowadził mnie był w stronę lasu, gdzie leżałaś bez duszy pod drzewem.

— Gdzie ja jestem? co to wszystko znaczy? — pytała zdziwiona Kazia.

— To znaczy — odparła Małgorzata, że Pan Bóg ulitował się nad nami, odnalazłyśmy córeczkę naszej kochanej Kaziuni, którą dawniej piastowałam na rękach, a ty masz teraz czule cię kochającą babcię i ciocię.

Słyszac rozmowę, pani Korecka i jej matka weszły do pokoju. Kazia ze łzami radości rzuciła im się na szyję, one zaś z tklawością przycisnęły ją do serca. Gdy minęło pierwsze rozrzewnienie, panie objaśniły dziewczynce okoliczności, które spowodowały szczęśliwą w jej losie zmianę. Stara Małgorzata poprzedniego dnia, jak zwykle nad wieczorem, poszła do lasu zbierać suche gałązki na ogień; czas jakiś już była tam zajęta, gdy posłyszała zdaleka jakby głos dziecka, wzywający pomocy. Podążyła w stronę, z kąd krzyk ją dochodził, i znalazła Kazię zemdloną pod drzewem. Poznała w niej zaraz ową dziewczynkę, tak podobną do piastowanej niegdyś przez nią starszej siostry pani Koreckiej. Chciała ją ratować, ale nie miała siły podnieść jej z ziemi; udała się więc z prośbą do leśnika, mieszkającego w pobliżu, i ten dziecko bez czucia odniósł do domu szkolnego. Tam, gdy panie rozbierały dziewczynkę, aby ją coprędzej w ciepłe łóżeczko położyć, spostrzegły ze zdziwieniem na jej piersiach medalik z imieniem i nazwiskiem matki Kazi, który pani Wnorowska nosiła całe życie, jako pamiątkę od rodziców otrzymaną, i dopiero przed śmiercią zawiesiła go na szyi małej córeczki, zalecając, aby ona z kolei nigdy się z nim nie rozstawała. Czyżby biedne dziecko, przyniesione zemdlone do domu nauczycielki i jej matki, miało być ową siostrzenicą i wnuczką, pozostawioną w spuściźnie po zmarłej? Żeby przekonać się o tem, gdy tylko dziewczynka po odzyskaniu zmysłów spokojnie zasnęła, pani Korecka odjechała zaraz wieczorem do państwa Marcinowstwa. Opowiedziała im wszystko co zaszło. Oburzyli się postępowaniem Franka i chcieli zaraz wziąć do siebie Kazię, pani Korecka nie zezwoliła na to. Pragnęła bowiem tylko dowiedzieć się bliższych szczegółów o Kazi. Jakoż dowiedziawszy się, że istotnie brat stryjeczny pan Marcin, zaślubił niegdyś młodą nauczycielkę, przybyłą z Litwy, że po kilku latach stracił żonę, że zawiadomiwszy o tej stracie daleko mieszkającą jej matkę i siostrę, z którymi nieboszczka od czasu zamążpójścia listowne tylko utrzymywała stosunki, sam niebawem zapadł w ciężką i długą chorobę, skutkiem czego ani o sobie, ani o pozostałej córeczce, żadnych rodzinie nie udzielał wieści.

(d. n.)



S Z A R A D A.

Pierwsze zachęca konie, gdy idą pomału,
Drugie miłym spoczynkiem wraca krzepkość ciała,
Trzecie jest znaną głoską w każdym alfabecie,
Wszystko wnet w pełni wdzięku błysnie nam na świecie,
 Gdy jak dobra królowa wjazd ku nam przyspieszy
 Na kwiecistym dywanie, wśród śpiewaków rzeszy.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ułożyła Róża.

* * * * * Zastąpić kropki literami,
aby litery, oznaczone gwiazd-
kami złożyły nazwisko mędrca
greckiego, zaś pierwsze litery, zwy-
cięzcy Turków. Rząd 2) Poeta i autor
Listów z podróży. 3) Wojewoda siedmio-
grodzki Król Polski ur. 1533 um. 1586 r.
4) Miasto w Azji Mn., pamiętne bitwą w r.
301 przed Chr. 5) Rzeka w Niemczech. 6) Ptak
drapieżny, dzienny. 7) Brzmienie jednej litery. 8) Sa-
mogłoska.

ARYTMOGRYF.

ułożył Amador.

- 1) 14, 2, 14, 3, 19, 9. Król Wizygotów.
- 2) 13, 1, 8, 3, 5. Rzeka w Hiszpanii.
- 3) 14, 13, 8, 4. Warownia i port w Arabii.
- 4) 12, 14, 3, 12, 1, 3. Ogólna nazwa wapieni krysta-
[licznych.
- 5) 12, 14, 4, 4, 14. Trawa, wydająca nasiona jadalne.
- 6) 11, 4, 7, 14, 2, 11, 13. Żołnierz niezdolny do służby.
- 7) 10, 6, 8, 17, 20, 14, 7. Imię męskie.
- 8) 9, 14, 17, 18, 19, 2, 11, 14. Prowincya w Hiszpanii.
- 9) 11, 6, 3, 14, 8, 2. Przydomek, który przeszedł z pa-
[tryarchy Jakóba na cały naród.
- 10) 8, 3, 11, 8. Jezioro w Ameryce południowej.
- 11) 7, 8, 18, 8, 3, 14, 4. Wysłuzony wojskowy.
- 12) 11, 16, 5, 3. Książę Kijowski z IX wieku.
- 13) 10, 22, 11, 10, 14, 16, 5. Miasto w Ameryce póln.
- 14) 6, 8, 4, 13. Starożytny język perski.

Liczbę zastąpić literami, aby początkowe i końcowe
litery z utworzonych wyrazów złożyły imię i nazwisko
poety polskiego, oraz tytuł jego poematu. Też same lite-
ry we wszystkich wyrazach oznaczone są jednakowemi
liczbami.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Szarady: O — ko — nie.

Łamigłówek w trójkącie:

S z a m b e l a n
Z e l a n d y a
A m e r y k a
M a r z e c
B a l o n
E t n a
L i s
A h
N

Zadania konikowego:

Z za morza powraca!... ach, leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż ty, bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...

Marya Konopnicka.

Skrzynka do listów.

Józi K. z Wyganowic, podobnie jak wszystkich naszych
czytelników, prosimy bardzo o przysyłanie znoszonych sukienek
i obuwia, któremi uszczęśliwić możemy wiele ubogich dzieci w każ-
dym czasie.

P. Z. D. Przysłana nam powiastka nie nadaje się do druku.

Stałym prenumeratorem z Ligowki. Najtreściwszy pod-
ręcznik gramatyki polskiej, chociaż nie najnowszy, ale bardzo uży-
wany jest: *Gramatyka Jeskiego*, bez przesyłki kosztuje 50 kop.

Książki, o którą zapytuje Zofia S. dostać nie można, ale za-
stąpić ją łatwo inną p. t. „Wieczory w Ojcowie” cena takowej
rs. 1.

Wierszyk Jadzi G. ze Stanisławowa tak jak w ogóle utwory,
autorów w jej wieku do druku się nie nadaje. Przy sądeniu kali-
grafii od starszych prenumeratorów wymagany daleko więcej i pró-
by ich podlegają surowszej ocenie.

Marylce K. posłaliśmy żadaną książkę jako premium dla ro-
cznych prenumeratorów. A teraz zasylamy wymówkę: nie godzi się
przez tak długi przeciąg czasu zapominać o Redakcyi i nie odzywać
się ani słówkiem. Na przyszłość oczekujemy poprawy.

Zofii P. z Łańcuta za miły liścik bardzo dziękujemy. Do-
kładamy wszelkich starań, by zadowolnić kochanych czytelników
i radzi jesteśmy, gdy im się podobają pomieszczane artykuły
i powieści. O jak najczęstsze listy prosimy.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek nadesłali: Zofia
P. z Łańcuta, Jadzia G. ze Stanisławowa, Mania K., Mała blon-
dynka, Cygan, Ryszard Lwie serce, Aniela R., Janinka W.,
Trójka z Zaciszcz. Łamigłówkę kwadratową z prośbą o wydruko-
wanie przysłała Reginka R. z Odessy.

Gwiazdce z Zacisza, braciszku jej i siostrzyczce, 8-letniej
Guci bardzo dziękuję i bardzo wdzięczną jestem za serdeczne listy,
którymi mnie obdarzyli. Na przyszłość proszę tylko, by starsze
rodzeństwo, biorąc przykład z małej siostrzyczki, nie nazywało
mnie „szanowną panią” ale poprostu sobie „kochaną Jaskółką”.
Cieszę się bardzo, że Wieczory tak wam się podobają i że je czytu-
jecie z takim zajęciem. Rozwiązania oddałam w Redakcyi, po-
wiedziano mi, że są zupełnie dobre. Prób kaligrafii braciszka
i małej Geni będziemy oczekiwali, Gwiazdka, mająca lat 12, nie
może już należeć do ubiegających się o nagrodę.

Stokrotce. Wybrałaś sobie ładny kwiatek za pseudonym,
a sądząc z twego listu—stosowny. Nie myśl, ażebyś była biegłą
w grafologii, ale o ile mi się zdaje z pisma, niektórych zwrotów
i stylu charakter twój i usposobienie muszą przypominać ten deli-
katny, a mimo całej swej skromności tak śliczny kwiatek. Aby
być zaliczoną do grona staruszek, trzeba mieć lat 15. Teraz na
zakończenie, za to, żeś się przez trzy lata namyslała i zdecydować
nie mogła do mnie napisać, naznaczam ci za pokutę, abyś nie zapo-
minała i odzywała się bardzo często do przyjaznej ci już serdecznie:

Jaskółki.

